№ 40. 2. Października 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Zofja Kowalewska.

Z powodu ukazania się książki p. Lefflerowej, przedstawiającej historję działalności znakomitej uczonej, zmarłej niezbyt dawno Kowalewskiej, podaje Jerzy Brandes następującą jej charakterystykę:

Kto choć pobieżnie znał tę szczególniejszą kobietę, którą chimera losu a właściwie śmiała, energicznie przeprowadzona idea profesora Mittaga-Lefflera sprowadziła na północ, ten przypomni sobie, że była to mała, delikatnie zbudowana dama, młodzieńcze zjawisko z błyszczącemi, przenikliwemi oczami, prawie piękna, pomimo zwiędłej nieco skóry, o rysach niezwykle ruchliwych, z bruzdą myśliciela pomiędzy oczami. Istota jej — to ciągły ruch, rozmowa jej, która przy szukaniu dobitnych określeń obracała się w przeciągu pół godziny w czterech nieraz językach, miało piętno niespokojnej, formalnie utrudzającej żywości.

Po za tą zewnętrzną formą była dusza, która dążyła i — cierpiała, kochała i cierpiała, zapalała się i cierpiała, walczyła, zwyciężała i ponieważ czuła się zawsze roztarganą — cierpiała, dusza, która, jakkolwiek śmiałą była w niebezpieczeństwach i mężną w nieszczęściu, nigdy przecież nie umiała sobie zdobyć więcej niż tylko ułamki szczęścia.

We wczesnej młodości, podług ówczesnego zwyczaju rosyjskiego weszła ona z mężem swym, profesorem Kowalewskim, w pozorne śluby małżeńskie, aby uzyskać swobodę podróżowania, oddawania się naukom, życia według upodobania. Stosunek ten pojmowała ona jednak w ten sposób, że żądając nie mało od męża, jemu w zamian nic przyznawać nie chciała. Później nastąpiło stanowcze zbliżenie się małżonków, a potem kilka lat rzeczywistego małżeństwa. Rozwiązało się ono jednak ostatecznie bez winy właściwej ani jednej ani drugiej strony, a niebawem potem p. Kowalewska została wdową.

Jej nadzwyczajne zdolności matematyczne oraz bogata osobistość rozwijały się z piorunową szybkością genjalności. W roku 1883 przybyła do Stokholmu i stała się niebawem ogniskiem umysłowego życia, które się naokoło niej zgrupowało. Wstrzemięźliwa, o pańskich formach, sarkastyczna wobec miernot, w wysokim stopniu »arystokratka ducha«, oddziaływała ona pozorami otwartości, poza którymi kryła się uparta skrytość pod względem tego, co ją najżywiej przejmowało.

Zbyt prędko znudziła się Stokholmem. Twierdząc, że poznała tam wszystkich ludzi na zewnątrz i wewnątrz, zaczęła niedługo tęsknić do nowych bodźców dla swego wewnętrznego życia. Była ona — jak się nazywać przywykła — naturą cygańską, a wszystko to, co rozumiemy pod wyrazem cnót mieszczańskich, napełniało ją niewypowiedzianym wstrętem. Ten rys charakteru oddziedziczyła ona po jednej z swych babek, która była cyganką.

Atoli ten silny popęd ku zmianom i bodźcom duchowym, wypływał w niemniejszym stopniu z natury jej talentów. Cała jej działalność naukowa była tylko dalszem rozwijaniem idei własnego jej nauczyciela Weierstrassa, nie mogła ona też niczego stworzyć, nie roztrząsnąwszy dokładnie tematu swego w towarzystwie innych.

Ponieważ Stokholm za mało jej dawał pokarmu duchowego oraz bodźców, zapragnęła go opuścić. Zwrotem, dla jej szwedzkich przyjaciół nieco obraźliwym, przywykła ona była nazywać drogę z Sztokholmu do Malmoe, jedną z najpiękniejszych linij kolejowych świata, drogę zaś z Malmoe do Sztokholmu najbrzydszą i śmiertelnie nudną, twierdząc, że drugiej takiej w życiu swojem nie widziała.

Atoli nie dzięki samej tylko wrażliwości okazuje się nam ona w wysokim stopniu jako kobieta. Przy całej idealnej odwadze była bardzo bojaźliwą. Głośniejszy dźwięk krowa, pies mogły ją nabawić przestrachu.

Niepraktyczną była w takim stopniu, że nie umiała sobie sama drogi znaleźć, nie umiała sama sukni sobie kupić, a oprócz tego posiadała prawdziwą namiętność naśladowania przyjaciół swoich we wszystkiem, co tylko widziała ich robiących.

W r. 1885/86 zaczęła Zofja Kowalewska zapadać w przemyśliwanie nad swoim losem

i ubolewać, że życie odmówiło jej spełnienia najwyższych jej życzeń. Marzyła ona wówczas o takiem połączeniu pomiędzy mężczyzną a kobietą, w którem inteligencja jednego, popierałaby inteligencję drugiej, a obie łączyłyby się w stosunku miłosnym do wspólnej pracy. Najgorętszą jej tęsknotą było więc znalezienie mężczyzny, który w ten sposòb mógłby się z nią zlać w jedno ja, a głównie przekonanie, że w Szwecji człowieka takiego nie znajdzie, pobyt jej tamże czyniło tak nieznośnym. Miała ona tę czysto kobiecą potrzebę być już w połowie drogi do celu pracy zrozumianą, przy każdym postępie, który czyniła, zachęcaną i podziwianą, a oprócz tego charakteryzowało ją i to, że nie posiadała dla pracy naukowej tego czystego, nieskrępowanego niczem zapału, jaki mają mężczyźni, oddani nauce, miała obok tego bardzo mało zmysłu dla przyrody a nic dla sztuki twórczej.

Tem dziwniejszym wydaje się jej talent poetycki. Próbowała ona i na tem polu swych sił, napisawszy do spółki z p. Lefflerową, która po jej śmierci wydała jej życiorys, dramat »Walka o szczęście«.

W początkach r. 1888 poznała człowieka który był powołany do odegrania w jej życiu najgłówniejszej roli, a który przy pierwszem zaraz poznaniu wydał się jej najgenjalniejszym człowiekiem, spotkanym w życiu. Był to jej ziomek, który w owym czasie przybył na zaproszenie do Sztokholmu. Człowiek ten był jej zupełnie godny. Na pół uczony, na pół wielki pan, pełen dowcipu i rozumu, inaczej a przecież wielce doświadczony, szlachetny, o manjerach pańskich a jednak zdrowych, co do postawy dobroduszny olbrzym, miał on w chwili, gdy się poznał z Kowalewską, bardzo poważne losy po za sobą, które jednak zniósł bez słowa skargi, nieomal z uśmiechem. Z powodu swych przekonań jako profesor uniwersytetu — nazwał on w jednym ze swych wykładów prawodawstwo angielskie doskonalszem od rosyjskiego — został on w Moskwie złożony z urzędu, wskutek czego wyjechał za granicę.

Sympatja i podziwienie, jakie p. Kowalewska dla niego uczuła, przeszły niebawem w miłość gorącą. Prosił ją, aby została jego żoną. Ona atoli, sądząc, że jest więcej przezeń podziwianą aniżeli kochaną, odmówiła na razie w nadziei, że go powoli zupełnie dla siebie zdobędzie.

Mając atoli temperament nieharmonizujący, tak go trapiła swemi uroszczeniami, a więcej zazdrością, będącą najnieszczęśliwszą właściwością jej istoty, że się rozłączyli wśród nieporozumień i goryczy.

Szarpana tą namiętnością, musiała się zatopić w pracy matematycznej, która jej przyniosła nagrodę francuskiej akademji umiejętności. Traciła ona powoli siły w walce pomiędzy czysto duchowemi i często namiętnościowemi wymaganiami swej natury. Jako genjusz niewieści nie mogła całkowicie zamknąć się w stosunku do człowieka, którego z ślepą namiętnością chciała posiąść całkowicie. Zdaje się, że odraziło go to jej zatopienie się w badaniach matematycznych, nie stojących w żadnym związku z jego osobą. Był on świadkiem jej tryumfu w Paryżu. Obsypano ją honorami, jakich dotąd żadna kobieta nie osiągnęła. Pomimo to jednak nie była szczęśliwą. Nie mogła się zdobyć na to, ażeby dać spokój swym pracom naukowym i być tylko żoną, jak sobie tego życzył jej ukochany, z drugiej zaś strony tyrańską, namiętną zazdrością swoją wystawiała jego uczucia na próbę, której on znieść nie był zdolny.

Niedługo też stosunek się ich zerwał. Zrospaczona, pisała wtedy: widzę, że on i ja nigdy się całkowicie nie zrozumiemy. Odtąd zaczęła pociechy szukać w pracy. Pokazało się niebawem, że ani z nim ani bez niego żyć nie może. Byt jej stracił podstawę, męczyła się duchowo, aż z tej tortury wybawiła ją śmierć w lutym 1891 roku.

TRUDNY WYBÓR.

Napisał

Karol Dickens.

(Dokończenie.)

Nie ośmielił się wyznać jej swego przywiązania ani nazajutrz, ani dni następnych. W ten sposób zeszło im, a raczej przeleciało kilka tygodni, bo chwile szczęścia mijają szybko. Wreszcie Mathyas zebrał się pewnego dnia na odwagę i oświadczył dziewczynie, że ma zamiar uczynić ją swoją żoną, a zarazem panią znacznych swych bogactw.

— Panie — zawołała na to dziewczyna, zrywając się z miejsca pełna przerażenia — chybaś zmysły utracił. A toż nie wiesz, że jestem córką niewolnika i sama niewolnicą i że nie ma sposobu zrobić mię wolną.

— Pieniądze wrócą ci wolność.

— O bynajmniej. Odwiecznym przywilejem klasztoru wszyscy poddani należą do niego raz na zawsze, nieodwołalnie. Gdyby człowiek wolny zapragnął poślubić którą z nas, musiałby wyrzec się swego stanu i stać się niewolnikiem wraz z całem swem potomstwem, na wieczne czasy. Z tego to właśnie powodu nie mógł się ze mną ożenić Skander, handlarz trzodą z sąsiedniej wioski, który dawał nawet dwadzieścia świń za cenę mojej wolności, ale nie chciał wyrzec się swojej własnej.

Mathyas podziękował w duszy niebu, że raczyło obdarzyć wieprzarza Skandera tak wiel-

kiem przywiązaniem do wolności i pewny siebie rzekł z uśmiechem:

— Jednak, wierz mi Karyno, co pieniądz, to pieniądz; któż nie lubi pieniędzy? Wykupię cię, zobaczysz, i będziesz moją na zawsze.

Dziewczyna wzruszyła tylko ramionami:

— Co za szaleństwo! Toż oni nie chcieli wziąść nawet dwudziestu świń!

— Ja dam dwadzieścia worów pełnych złota! — zawołał kupiec w uniesieniu.

Dziewczyna uśmiechnęła się, utrzymując, że nie jest warta tak wielkich pieniędzy, a gdyby nawet i była warta, ojcowie nigdy się nie zgodzą jej odprzedać.

— Na imię świętego Marona! — zawołał kupiec — wszak jestem w stanie zakupić cały klasztor.

Mylił się atoli tak twierdząc. Klasztor w Selafka był jednym z najbogatszych na Wschodzie, a jego przeor najupartszy z ludzi. Kiedy Mathyas udał się do niego ze swą propozycją, odpowiedział krótko i węzłowato, że Karyna za żadną cenę odprzedana być nie może.

— Jeżeli tak koniecznie chcesz się z nią ożenić — dodał wreszcie — w takim razie wyrzecz się swoich bogactw i zostań naszym poddanym. Takie jest prawo, a jam tylko stróż jego i w interesie zgromadzenia nie mogę inaczej postąpić.

Odebrawszy tę nieodwołalną odpowiedź, kupiec Mathyas wrócił do Tarsu, zmartwiony nad wszelki wyraz.

— Co tu robić? — zapytywał samego siebie. — Nie mogę przecież wyrzec się raz na zawsze nietylko całego mienia, uzbieranego krwawą pracą, lecz i osobistej wolności dla pierwszej lepszej spotkanej dziewczyny. Spróbuję o niej zapomnieć — może mi się to uda.

Zaprzestał bywać w dolinie, położonej wśród gór i próbował znaleźć rozrywkę wśród dawnych znajomych. Pewnego razu, kiedy znajdował się w bazarze, zbliżył się ku niemu żyd wekslarz i powitał go z wielką powagą:

— Pozdrowienie — rzekł — mądremu mężowi, który nie chce utrudniać sobie życia towarzystwem świegotliwej kobiety.

Ale Mathyas za całą odpowiedź zmarszczył tylko brwi, bo ani zasługiwał na takie pozdrowienie, ani go pragnął. Po chwili zaś ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich sąsiadów, wszedł do sklepu krawca i ścisnąwszy jego dłoń, szepnął:

— Zamknij sklep, przyjacielu i zaprowadź mię do twego domu, abym mógł, jakeś to mi kiedyś obiecał, oglądać twoją ukochaną żonę i dziecię.

— A które, proszę waszej wielmożności, bo już mam ich troje?

— Więc pokaż wszystko troje. A także i murzynkę piastunkę, którą chciałeś stawić w zakład.

— O, co ta, to już dawno poszła za mąż, za tego właśnie kupca, który ma sklep tam na rogu. Udarowałem ją wolnością, skoro tylko zdarzył się stateczny człowiek.

Mathyas uczuł ciernie w sercu. Wszak i on był człowiekiem statecznym a jego wybrana niewolnicą, tylko nie u biednego krawca, któryby z radością poniósł stratę nie tylko jej osoby, ale i zapłaconej za nią kwoty, lecz w bogatym klasztorze, który nie chce przyjąć najhojniejszego okupu, bo woli zagarnąć raczej wszystko, niż część.

Krawiec tymczasem zamknął sklep i zaprowadził najbogatszego obywatela Tarsu do swego domu, położonego na najlichszej ulicy w najuboższej części miasta. I dom był wielce nędzny, ale wydawał się pałacem, tak przyozdabiała go młoda, ładna, wesoła kobieta i troje rumianych, pucułowatych dzieci, igrających wesoło i radujących się ojcu.

— Powiedz, mi bracie — spytał Mathyas krawca — cobyś zrobił, gdyby ci dano do wyboru z jednej strony te ukochane przez ciebie istoty, a z drugiej wolność twoją osobistą, czyli, mówiąc jaśniej, gdyby ci przyszło albo wyrzec się życia wśród nich, albo pozostać z niemi i być zaprzedanym w niewolę?

— Słodką jest rzeczą wolność — odparł krawiec po krótkim namyśle — jednak i bez niej żyć można; ale nic nie zdoła zastąpić miłości i domowego cichego szczęścia.

Gdy bogaty kupiec wrócił do swego pałacu, kazał nie zwlekając osiodłać sobie muła i pojechał wprost do klasztoru, gdzie zastał wielki tłum w dziedzińcu, a przeora na ganku.

— Przybyłem — rzekł Mathyas — aby oświadczyć, że wyrzekam się mienia i wolności w zamian za rękę Karyny.

— Zapóźno — odparł zakonnik — przed chwilą właśnie Skander przypędził całą swoją trzodę, oddając ją na rzecz klasztoru, a teraz wkładają mu w kaplicy obrożę niewolnika, ci zaś których tu widzisz w dziedzińcu, zgromadzili się, aby być świadkami jego zaślubin z dziewczyną od krów.

Mathyas załamał ręce z rozpaczy i rzucił się ku kaplicy, wołając aby wstrzymano się z uroczystością ślubną, bo on ma lepsze prawa od handlarza trzodą.

— Ależ mój przyjacielu — rzekł przeor ukazując się we drzwiach — Skander wcześniej od ciebie się zdecydował.

Po wielu nareszcie prośbach udało się Mathyasowi zyskać zwłokę, podczas której zeszli się na naradę wszyscy zakonnicy z klasztoru. A biorąc pod uwagę daleko większy zysk dla zgromadzenia z nabycia człowieka, który wraz ze swoją osobą wnosił tak znakomite majętności, zdali rzecz tę całą na wybór dziewczyny. A kiedy z tem do niej się udano, (Bogu tylko

wiadomo, co się w tej chwili działo w duszy Mathyasa!) ona rzekła bez namysłu, lecz z rumieńcem na licach i spuszczonemi oczyma:

— Proszę włożyć obrożę na szyję kupca z Tarsu.

Jakoż dopełniono tego bez zwłoki, poczem sam przeor dał im błogosławieństwo ślubne, a jednocześnie jeden z zakonników, pełniący obowiązki podskarbiego zgromadzenia udał się do Tarsu dla zajęcia w imieniu prawa wszelkiej własności byłego bogacza.

Mathyas w szczęściu swojem ani pożałował bogactw, zbieranych niegdyś tak skrzętnie. Wymówił sobie jedynie, aby go nie używano nigdy do innych, jak pasanie bydła posług. W ten sposób mógł być pewny, że cały czas spędzać będzie w towarzystwie żony. Jakoż rozpoczął swoje obowiązki zaraz od dnia następnego i trzeba mu przyznać, że je wypełniał nader sumiennie.

Tymczasem wiadomość o powyższem zdarzeniu doszła do uszu paszy Tarsu, który wpadł w gniew okrutny i kazawszy osiodłać sobie muła, udał się z licznym orszakiem wojska do klasztoru w górach. Przybywszy tam, rozkazał niezwłocznie stawić się przed sobą przeorowi:

— Wiedz, mnichu niewierny — rzekł do niego — że Mathyas, kupiec, jest moim przyjacielem od serca i że nigdy nie ścierpię, aby został twoim niewolnikiem i aby jego majętności wyszły z miasta, którem zarządzam, dla wzbogacenia twojej szkatuły. Dla tego zapowiadam ci z góry: ani sobie przypuszczaj do głowy, abym miał pozwolić na ograbienie zacnego i wspaniałomyślnego człowieka.

Właściwie mówiąc, głównem źródłem takiej czułości ze strony paszy, był ofiarowany mu niegdyś pękaty worek pełen świecących cekinów oraz naszyjnik wybranych pereł najżywszego blasku. A także i uprzejma gotowość Mathyasa do pożyczania mu od czasu do czasu pieniędzy na wieczne nieoddanie, niby z powodu krótkiej pamięci. Podobna gratka nie każdemu paszy i nie na każdej zdarza się drodze.

Koniec końcem, przeor spostrzegłszy że ma do czynienia z mocniejszym od siebie, zaprosił jak najgrzeczniej paszę na poufną rozmowę, która się zakończyła obustronnem porozumieniem.

Ale miesiąc cały upłynął, nie przynosząc żadnej zmiany w życiu Mathyasa, wyjąwszy tej chyba, że się znacznie wprawił w paszeniu, pojenie i pędzenie krów klasztornych ku wielkiej uciesze swej żony.

Nareszcie po upływie miesiąca przywołano ich oboje i przeor oświadczył Mathyasowi wobec zgromadzenia wszystkich zakonników, że warunki, którym się poddał tak cierpliwie, były tylko próbą jego stałości. Powrócono mu więc wolność wraz z całym majątkiem, spuszczając się na własną jego wspaniałomyślność, która nie zawiodła, gdyż Mathyas umiał hojnie wynagrodzić klasztorowi w górach szczęście, jakie wniosła w jego życie uboga pasterka. Niebawem też odbył wjazd do swego pałacu wraz z ubóstwianą małżonką i do dziś dnia pamięta, kto tylko żyje w Tarsie z tych niedawnych czasów, jak świetną wydał zabawę z powodu tej okoliczności nie tylko dla całego miasta, lecz i dla jego okolic. Dobry ten człowiek tak dalece czuł się szczęśliwy, że nie chciał, aby ktokolwiek z jego powodu miał jakie zmartwienie i pośpieszył co rychlej wynagrodzić wekslarzowi jego stratę. Co zaś do krawca, tego wziął do siebie wraz z żoną, dziećmi i wszystkiem, co mu było miłem, nie chcąc rozstawać się ani na chwilę z człowiekiem, który go nauczył szczęścia. W gronie ukochanej rodziny dożył późnego wieku, powtarzając często: »Bogactwa są istną nędzą w osamotnieniu, natomiast niebem jest nawet nędza, jeżeli się jest kochanym«.

Opowiadanie nasze, niby nieprawdopodobne, jest jednak całkiem prawdziwe.

Wykład o kole

w Towarzystwie inżynierskiem w Paryżu.

Wobec ogólnego zainteresowania się sportem kolarskim, warto zaznajomić szerszą publiczność z treścią wykładu, jaki miał A. Michelin na posiedzeniu »Société des ingénieurs civils« w Paryżu.

Na podstawie dat statystycznych wykazał p. Michelin nadzwyczajny wzrost kolarstwa w Anglji i Francji, zwłaszcza w ciągu kilku lat ostatnich. Import kół z Anglji do Francji obliczono w r. 1891 na 12,000.000 franków. Liczba kolarzy we Francji, mających własne maszyny wynosi nad 300.000.

Anglja wyrabia rocznie 120.000 do 130.000 maszyn; samo miasto Coventry zatrudnia zimą i latem około 15.000 robotników wyłącznie przy fabrykacji kół. Aż trudno uwierzyć jak wielką jest ilość patentów, wydawanych na rozmaite ulepszenia kół; W r. 1891 udzielił rząd francuski 350 takich patentów, a w pierwszych dziewięciu miesiącach 1892 r. 477. Już same te cyfry dowodzą, iż wehikuł ten to nie modny przyrząd, służący jedynie dla przyjemności, ale że takowy ma dziś szerokie praktyczne zastosowanie.

W dalszych wywodach wskazuje Michelin, skąd pochodzi, że koło jako środek komunikacyjny tak wybitne zyskało stanowisko. I tak M. Johnson pobił na kole najszybszego amerykańskiego kłusaka, klacz „Nancy-Hanks“, ujechawszy milę angielską, równającą się 1609 metrom, w 1 min. 56 sek. (co odpowiada chy-

żości 50 km na godzinę), podczas kiedy koń potrzebował na przebycie tej drogi 2 min. 4 sek. Cyklista Terront przebył w 71 godzinach drogę z Paryża do Brestu i napowrót t. j. przestrzeń 1208 kilometrów bez zmiany maszyny. Tyleż czasu potrzebował zwycięzca w wyścigu konnym z Wiednia do Berlina na przebycie drogi 570 km. Koło przeto zdziałało na tej wielkiej przestrzeni przeszło dwa razy tyle co sławny koń „Athos“. Następnie dał prelegent bardzo ciekawe tabele i zestawienia, z których wynika, że na lądzie, na dłuższe przestrzenie jedynie lokomotywa stoi wyżej od welocypedu. Znakomite są też wyniki jazdy na dłuższych przestrzeniach, i tak na torze wyścigowym „Velodrome de Buffalo“ w Paryżu zrobiono 40 km. w 1 godz. a Stéphane ujechał 674 km. w 24 godzinach t. j. w przecięciu 28 km. na godzinę.

W dalszym ciągu przedstawił Michelin, na czem właściwie polega ta nadzwyczajna chyżość i doskonałość kół dzisiejszych.

Przedewszystkiem wskazał na okoliczność iż ten sam ruch, który pieszego posuwa o dwa kroki, t. j. 1.50 do 1.80 m., posuwa kolarza stosownie do wielkości koła, względnie transmisji o 4.50 do 5.50 m. czyli przeszło trzy razy dalej. Jak dowodzą wyniki licznych wyścigów jest natężenie przy tej pracy dla wyćwiczonego kolarza daleko mniejsze, aniżeli dla wyćwiczonego piechura. Pochodzi to stąd, że człowiek idący pieszo oprócz poruszania się naprzód, musi cały ciężar ciała przy każdym kroku podnosić i opuszczać, podczas gdy kolarz porusza się tylko naprzód (żywa siła ruchu). Widać to dokładnie skoro się przyjrzymy jak się głowa idącego za każdym krokiem podnosi i zniża, jadącego zaś na kole zawsze równolegle z płaszczyzną drogi naprzód porusza.

Prócz tego opiera się ciężar ciała kolarza na pięciu punktach maszyny, podczas gdy cały ciężar idącego pieszo spoczywa na dwu nogach.

Drugą przyczyną tak znakomitych wyników jazdy na kole jest doskonałość maszyny, której ciężar został sprowadzony do minimum. Budują dziś koła, ważące dziesiątą część wagi jeźdźca, a waga ta prawdopodobnie jeszcze bardziej się zmniejszy, skoro się da do budowy kół użyć aluminium. Tarcie zostało przez użycie łożysk kulowych zredukowane prawie do zera. Największy postęp zawdzięcza koło wynalazkowi dętych (pneumatycznych) obręczy gumowych. Są to ścieśnionem powietrzem napełnione węże kauczukowe (o średnicy 4 do 6 cm.. a grubości ścian około ½ cm.), opasujące koła maszyny jakoby poduszki powietrzem napełnione. Wskutek użycia tych obręczy zmniejszyły się znacznie drgania, które się przy jeździe, zwłaszcza na dłuższe przestrzenie, niemile dawały odczuwać, drobnych przeszkód wcale się nie czuje, a nieprzyjemne uderzenia przy większych przeszkodach znacznie zostały złagodzone. Można dziś powiedzieć, że się kolarz toczy w powietrzu, parę centimetrów ponad nierównościami drogi.

Podczas gdy poprzednio przy wyjeździe na bardziej stromą górę traciła się część siły przez wyślizganie się koła, jest obecnie adhezja dętego obręcza do powierzchni drogi z powodu większej jego grubości tak silną, że się koło wcale nie ślizga i nawet na bardzo strome pochyłości można dziś z łatwością wyjeżdżać.

W ciągu dalszym wskazał Michelin najrozmaitsze systemy dętych obręczy, przy których budowie dokładają dziś wszelkich starań, by je mjódz ochronić od skaleczeń na ostrych przedm otach, jakoteż by w razie skaleczenia nie mogło ścieśnione powietrze z obręcza uciec. Nie zdołano dotychczas niestety wynaleźć środków chroniących obręcze zupełnie od tych ewentualności, Michelin wyraża jednak nadzieję, że rada na to znajdzie się w najkrótszym czasie.

Wskazawszy wreszcie na błogie skutki jazdy na kole na zdrowie i wzmocnienie ciała, dalej na to, ile się przez jazdę na czasie zyskuje i na rozmaite inne zale y jazdy na kole, zakończył swój wykład wśród hucznych oklasków i podziękowań ze strony bardzo licznie zgromadzonych słuchaczy. *K. H.*

Paul Margueritte.

POŚCIG.

NOWELKA.

— Skoro mówicie o awanturkach — ozwał się mój przyjaciel de Brac, zapalając cygaro po jednym z naszych kawalerskich obiadków — powiem wam, że lat temu dziesięć zdarzyła się mi jedna, o której nie mogę bez rumieńca pomyślec.

— No! no! opowiedz — zawołaliśmy chórem.

De Brac uśmiechnął się. Był to ładny chłopiec z ognistem spojrzeniem, trochę już szpakowaty i z obliczem noszącem ślady wesołego żywota. Niedawne wypadki polityczne utorowały mu drogę do izby, w której zasiadał pośród najmłodszych deputowanych.

Byłem wówczas studentem — zaczął. Kończyłem rok dwudziesty drugi, zacząłem więc ten szczęśliwy okres życia, kiedy to człek zawsze pragnie kochać i być kochanym. Niestety, nie znałem prawie nikogo i nie miałem kochanki, lubo marzeniem mojem było wynaleźć sobie ideał. Pod świeżem wrażeniem pamiętników

owego psotnika Kazanowy, ciągle sobie powtarzałem, że szukającemu awantury nie trudno o nią — i szukałem nieustannie. Zaczepiałem niemal każdą kobietę, którą spotkałem idącą samotnie. Były to małe szwaczeczki, które śmiały się ze mnie; mieszczki, które uciekały odemnie z oburzeniem, i damy z wielkiego świata, które bawił flirt podobny na świeżem powietrzu. Czasami znów natrafiałem na młode mężatki, które z przestrachem błagały mię, abym je pozostawił w spokoju. Spotykałem często i młode, trzpiotowate dziewczęta, które z figlarnym uśmiechem naznaczały mi schadzki, nie myśląc wcale stawić się na nie.

Upewniam was jednak, że zaczepiając wszystkie te panie, przybierając stosownie do chwili minę wesołego, czułego, melancholijnego lub namiętnego — nie spodziewałem się wcale odrazu zwyciężyć; bardzo często nawet starania moje były zupełnie platoniczne, pozbawione wszelkich złych zamiarów. Stałem mojem marzeniem było spotkać młodą, piękną, dla mnie przeznaczoną niewiastę, która po długim i szlachetnym oporze, zostałaby moją, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na długo.

Nie przewidywałem żadnych złych następstw. Mąż, dzieci, obowiązki nie istniały dla mnie wcale i nie przychodziło mi nawet na myśl, ażeby mogło mi co stanąć na przeszkodzie. Nie rozumiałem w życiu innego celu nad miłość, to też świat cały zdawał się stać przedemną otworem, jak przed myśliwym las obfitujący w zwierzynę.

Otóż tedy pewnego mroźnego wieczoru, gdy tu i owdzie zaczęli zapalać latarnie, spostrzegłem wychodzącą z jednego z domów na bulwarze St-Germain śliczniutką osóbkę. Był to wprawdzie dla mnie jeden z tych dni tęsknoty, kiedym jeszcze dotkliwiej odczuwał swą samotność i kiedy od samego rana wszystkie kobiety były dla mnie powabne.

W każdym razie nie było to zjawisko zwyczajne. Dość skromne ubranie zdradzało jednak dużo gustu, a nóżki i ręce były nadzwyczaj zgrabne. Szła krokiem pewnym i swobodnym, nie spiesząc się wcale. Biała szyjka była przykryta kilku złocistemi kędziorami, które spadały na aksamitny kołnierz futerka. Trudno wszakże było określić, do jakiej kategorji kobiet należała. Była to jednak zapewne paryżanka i w każdym razie z wyższego towarzystwa. Ale co się tyczyło moralności!... Mogła być i dobrego prowadzenia jakkolwiek śmiałe spojrzenie, czarujący uśmiech na ustach... to wszystko słowem, com odczuwał nierównie silniej, niż mógłbym teraz wypowiedzieć, zdawało się usprawiedliwiać moje zwątpienia i zapraszać do flirtu.

Bądź co badź, wyznaję, żem podążał za nią z pewną obawą. Wydało mi się po chwili, że zauważyła moją obecność, i to mi dodało odwagi: zastosowałem natychmiast dobrze znaną mi taktykę. Szedłem na przemian wielkiemi lub małemi krokami, wymijając ją i przechodząc na drugą stronę, lub wracając nagle jak gdybym chciał ją zaczepić, a zaglądając w twarz, jak dla wyczytania z niej zgody lub niezadowolenia, które kobiety zawsze w razach takich okazać umieją. Były to jednak usiłowania daremne. Piękna nieznajoma, nie patrzyła na mnie wcale. Spuściła oczy na dół i zdawała się nawet nie podejrzywać mej obecności. Nigdy, upewniam was, obojętność nie była lepiej udaną. Dotknięty do żywego, postanowiłem dalej się posunąć i przy wejściu do Palais-Royal przemówiłem do niej.

Nie pamiętam już jakiem głupstwo powiedział, był to grzeczny i zarazem bezsensowny frazes, zawsze wystarczający w podobnych okolicznościach. Nie zapomnę nigdy spojrzenia, którem mię obrzuciła od stóp do głowy, spojrzenia pełnego zdziwienia, w którem się malowała litość pogardliwa.

Powinno to było mię uspokoić, ale zapał mię zaślepiał, a miłość własna nie pozwalała na odwrót. Bąknąłem, rumieniąc się, słów parę, po chwili atoli odzyskałem przytomność i mówiłem dalej. Ona trochę przyspieszyła kroku, nie odpowiadając mi wcale. Zachowywała na pozór spokój, który nareszcie wyprowadził mię z cierpliwości. Rzuciłem parę słów nieprzyzwoitych. Podniosła wówczas na mnie swe duże, niewinne oczy — o tak! niewinne! — dobrze to zrozumiałem... I powiedziała: mylisz się pan!

Zacząłem wówczas przepraszać za natarczywość, zdobywając się na jak najgrzeczniejsze wyrazy. Starałem się ją rozbroić i sprowadzić uśmiech na twarzy, mówiąc bez przerwy, jak gdybym ją znał oddawna. Siliłem się na dowcipy, gdy ona ściskając ramionami, odrzekła:

— Ależ panie, nudzisz mię!

Nie chciałem wszakże temu wierzyć. Nagła poufałość z nieznajomą kobietą ma w sobie coś nadzwyczaj tajemniczego. Może bawi się, może udaje, a za chwilę uśmiechnie się i przyzna ci zwycięstwo? Zjawiające się naprzemian zwątpienia, nadzieja lub obawa sprawiają nadzwyczaj przyjemne wrażenie. Wprawdzie jakieś wewnętrzne przeczucie szeptało mi, żem tracił czas napróżno. Ale, czy podobna usłuchać głosu rozsądku, postępując tuż obok ślicznej osóbki, którą chciałoby się podbić przemocą i publicznie ucałować, aby ukarać za długie jej sprzeciwianie się.

Nie odstępowałem ani na krok pięknej nieznajomej, która zdawała się już zgadzać na moją obecność. Dodawało mi to odwagi. Gdyby mię słuchać nie chciała, myślałem sobie, cóżby jej przeszkadzało zawołać na dorożkę? jeśli zaś pozostaje ze mną na chodniku, widocznie towarzystwo moje sprawia jej przyjemność. Nie przyszło mi na myśl, że ulica należała do wszyst-

kich i że kobieta ta miała zupełne prawo iść samotnie i być wolną od wszelkich natarć.

Gdyśmy mijali operę, jakby znudzona moją natarczywością, rzuciła kilka słów w odpowiedzi na moje głupstwa. Zrobiła to wprawdzie oschle, bez żadnego uniesienia, ale w każdym razie wymogłem na niej kilka słów, było to najgłówniejsze!

Zwróciła następnie na Chaussée-d'Antin i weszła na Rue Blanche. Przyjąłem to za dobrą oznakę; zdawało mi się nawet, że postać jej staje się swobniejszą i trochę obiecującą, gdy naraz zatrzymała się i wyrzekła tonem stanowczym:

— Zostaw mię pan. Mógłby mię kto spotkać.

Możecie się domyśleć, com jej na to odpowiedział. Nie przyszedłem ci z tak daleka, ażebym się z nią rozstać miał tutaj, podobała mi się nadzwyczaj, ubóstwiałem ją, byłem gotòw porwać ją na jakąś wyspę odludną. Upojony pogonią tą za szczęściem i całą tajemniczością spotkania, nie chciałem przypuścić, aby uroczy romans, dopiero co rozpoczęty, miał się skończyé tak prędko.

Kiedy więc wbiegła do bramy, nie pozostałem na ulicy, lecz z całą natarczywością podążyłem za nią. Na schodach spojrzała mi jakoś dziwnie w oczy:

— Nie myślisz pan przecie wstępować do mnie?

— Owszem — odparłem z zapałem.

Otrzeźwiło mię dopiero silne targnięcie dzwonka. Młoda kobieta przebiegła ciemny przedpokój, otworzyła drzwi i ujrzałem się za nią w dużym, rzęsiście oświetlonym salonie, gdzie jakiś olbrzymiego wzrostu blondyn, z ogromną brodą i dziwnie rozwiniętą muskulaturą siedział przy kominku naprzeciw siwej kobiety, przypominającej z rysów moją nieznajomą.

Dwóch chłopaków bawiło się na podłodze, przeglądając obrazki; na fotelu spał kot ogromny a ktoś, dla mnie niewidzialny, grał na fortepianie jakiś utwór Gounoda.

Ledwom powiódł po tem wszystkiem oczyma, usłyszałem głos młodej kobiety, zwracającej się do olbrzyma:

— Mój drogi, przedstawiam ci pana, który obawiając się, abym się nie zbłąkała, życzył sobie koniecznie odprawadzić mię z bulwaru St.-Germain aż do salonu.

Co za piorunująca zmiana dekoracji! Olbrzym powstał z miejsca, marszcząc brwi groźnie. Staruszka zdawała się być zasępioną. Głowa jakaś wysunęła się z poza fortepianu. Dzieci przestały się bawić i zwrociły na mnie swe duże oczy. Kot nawet się najeżył, jakby potępiając mię wzrokiem. Nie wiedziałem sam co robić i lubo starałem się zachować krew zimną, straciłem zupełnie kontenans, gdy piękna kobietka położyła rączkę na ramieniu olbrzyma, i powstrzymując go, ozwała się do mnie z dziwnym jakimś uśmiechem na twarzy:

— Niechże pan usiądzie! Musisz pan być bardzo zmęczonym.

Wyglądała w tej chwili na ideał uczciwości. Mąż, matka, dzieci, ten cichy spokój domowy — wszystko tak żywemi kolorami malowało szczęście rodzinne, iż ogarnął mię wstyd niewysłowiony. I cóżbyście zrobili na mojem miejscu?

— Pani — rzekłem z nizkim ukłonem — postąpiłem jak głupiec i gbur. Niechże pani będzie łaskawa przebaczyć mi lekkomyślny postępek, którego z całego serca żałuję.

Podałem następnie mężowi bilet wizytowy, powiadając glosem stłumionym, któremu siliłem się dodać stanowczości:

— Jestem na rozkazy pańskie.

Spojrzał w milczeniu na mnie, na żonę i z powagą odrzekł:

— Przeprosiłeś pan moją żonę i to mi wystarcza.

Czerwony od wstydu, raz jeszcze się ukłoniłem i zabrałem się do wyjścia. Ku niemałemu mojemu zdumieniu, olbrzym wziął ze stołu lampę i wyszedł poświecić za mną na schodach. Tu, widząc żem nie mógł ze wzruszenia trafić na pierwszy stopień, spojrzał mi w oczy i rzekł dobrodusznie:

— Proszę ostrożnie, schody są strome...

Pieśń bez nazwy.

Smutku, ty wierny
Mój przyjacielu!
Na tej niezmiernej
Przestrzeni świata
Wszystko przemija,
Wszystko ulata,
Ty jeden tylko
Jesteś mi wierny.

Anim ku tobie
Nie biegł w potrzebie,
Anim na grobie
Nie szukał Ciebie.
Czy los rozrządził
Niemiłosierny?
Czyliś zabłądził,
Idąc bez celu,
Do mego serca, smutku ty rzewny
I ty najszczerszy
Mój przyjacielu.

Cichej miłości
Gdym poznał czasy,
Ty byłeś pierwszy
Z ponurych gości,

Co łzy wycisnął
Z mych tęsknych oczu.

Gmach snów promiennych,
Marzeń wiosennych,
Co stał w przezroczu,
W proch się rozprysnął.
Zwodnicze mary
I sny i czary
W dal uleciały,
Tyś jeden zawsze
Wierny i stały.

Kiedy już drogą,
Tą pójdę ciemną
Gdzie tylko mogą
Duchy być ze mną,
Gdy głowę skłonię
W zimnej mogile,
Zasnę jak dziecię
W niej pociehutku.
Smutku, mój smutku,
Przez jedną chwilę
Zagość Ty w łonie
Tych, co na świecie
Mnie ukochali
A potem dalej!
Na świata strony,
Błądząc, wędrując,
Szukaj przystani
W duszy zbolałej
I bądź tak dla niej,
Jak dla mnie też
Wierny i stały!

W. Rapacki (syn).

U Emila Zoli.

Każdy posiadający wybitniejsze nazwisko odbiera mniejszą, lub większą ilość listów od osób sobie nieznanych. Ilość tego rodzaju listów jest proporcjonalną do stanowiska i popularności tego, do którego są pisane. Dziennik „Le Journal“ zebrał w tym kierunku wiadomości co do listów, jakie odbierają wybitniejsi pisarze francuzcy. Między innymi wyraził swe zapatrywania i Emil Zola.

— Bardzo nie lubię pisywania listów. Uznając wszakże, że na każdy list odebrany odpowiadać należy, czynię to z wyjątkiem tych listów, na które odpowiadać niewarto, a takich znajduje się wiele. Na listy, które uznaję za rozumne i serjo, odpowiadam, lecz odpowiadam treściwie w paru wierszach. Atoli i w tej formie uciążliwa to dla mnie praca. Wiadomo panu, iż nie mam sekretarza, znajduję bowiem, iż daleko więcej czasu zajmuje wyłożenie komuś, jakiego rodzaju i treści ma być to, co sobie życzymy, by napisał, aniżeli samemu obowiązek ten spełnić. Nadchodzące więc listy gromadzą się na mojem biurku do chwili, aż zobaczywszy stos ich przed sobą leżący, zdobędę się na odwagę i przejrzawszy je kolejno, całej korespondencji nie załatwię odrazu.

Przeważna ilość odbieranych przezemnie listów od nieznajomych, pochodzi od młodzieży pragnącej rad moich zasięgnąć. Ilekroć razy spostrzegę, iż mogę im być pożytecznym, czynię to, odpisując na stawione pytania. Na listy objawiające mi uczucia życzliwe, powstałe po przeczytaniu którejkolwiek z moich książek, posyłam kartę wizytową z dopiskiem „dziękuję“. Najuciążliwszymi korespondentami są ludzie, mający wiele czasu do stracenia i sądzący drugich po sobie. Ci nadsyłają listy zapełniające kilka arkuszy pisaniny, zawierającej uwagi ich, spostrzeżenia, rady, tematy powieści i t. d. Nie odpisuję na nie wcale. Gorzej jest jeszcze, gdy ci pisujący nieznajomi udają się z prośbą o protekcję i nadsyłają osobiste swe papiery udowadniające rację i podstawę roszczonej pretensji zajęcia się ich losem. Nieodzownem się wtedy staje papiery takowe uporządkować i zwrócić, co zważywszy na ilość tego rodzaju korespondentów, przedstawia niemałą stratę czasu. Równie strasznymi są nadsyłający swoje utwory.

Jak pan widzisz, odpowiadam chętnie na listy nieznajomych, lecz wtedy tylko, gdy uznaję to za pożyteczne. Nadsyłane mi marki pocztowe, mające zapewnić moją odpowiedź, nie zniewalają mnie ku temu bynajmniej i używam ich bez skrupułu na własną potrzebę. Prośbom nadesłania autografu zadość nie czynię nigdy. Wiem bowiem, iż najczęściej pochodzą od osób handlujących niemi, zwłaszcza w Anglji i w Ameryce.

— Listów kobiecych odbierasz pan za pewne wiele?

— O tak! Pochodzą one najczęściej od zdenerwowanych próżniactwem kobiet, szukających rozrywki. Proponowały mi niektóre małżeństwo, chociaż jestem żonaty, inne wprost schadzki, zdarza się wtedy czasami, iż posyłam w swem zastępstwie którego z młodych moich kolegów. W ogóle na listy tej kategorji nie odpowiadam nigdy, zarówno jak na anonimy, których mógłbym posiadać kolekcję wstrętną i obfitą, gdybym chociaż najbrutalniejsze tylko zachowywał. Po napisaniu „Pogromu“ otrzymałem ich niemało z Niemiec!...

Nowe książki.

Racławicki Tadeusz. Z pod zaboru rosyjskiego, serja II. (Odbitka z Dziennika poznańskiego). Poznań, nakł. Dziennika pozn., 1893, w 8-ce str. 115 1 marka 50 fenig. **Łańskaja N.** Misjonarze świętej Rosji, powieść ze współczesnego życia w zachodnim kraju. Kraków, nakł. spółki wydawniczej, 1893, w 8-ce, str. 223 1 złr. 60 cnt.